

# **POCZUCIE SPRAWSTWA I PODMIOTOWOŚCI W POLSKICH DEBATACH HISTORYCZNYCH. W ODPOWIEDZI TOMASZOWI ZARYCKIEMU**

Jan Sowa  
Uniwersytet Jagielloński

Korzystając z możliwości, jaką dała mi redakcja „Stanu Rzeczy”, chciałbym krótko odnieść się do głównych tez postawionych przez Tomasza Zaryckiego w recenzji mojej książki *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*. Zacznę od tych momentów, w których zgadzam się z autorem tekstu, aby przez wyjaśnienie spraw wątpliwych i stawianych przez Zaryckiego pod znakiem zapytania dojść do kwestii polemicznych.

Rację ma bez wątpienia Tomasz Zarycki, postulując w drugiej części swojej recenzji rozszerzenie perspektywy badawczej dotyczącej Rosji i roli, jaką państwo to odegrało w czasie rozbiorów. Zgadzam się tu z propozycjami i intuicjami autora inspirującej monografii *Peryferie: Nowe ujęcia relacji centro-peryferyjnych*, który bez wątpienia jest specjalistą od spraw rosyjskich lepszym niż ja sam. Ma rację, że na percepcję roli, jaką w dziejach Polski odegrali Rosjanie, składa się splot wielu czynników i uwarunkowań, w tym wspomniana przez Zaryckiego słaba pozycja symboliczna Rosji na współczesnej arenie międzynarodowej czy też społeczna geneza polskiej inteligencji zaboru rosyjskiego. Zgadzam się również z tezą, że wybór między opcją zachodnią a prorosyjską nie jest jednocześnie nawet w małym stopniu dylematem dzielącym polską opinię publiczną czy narodowe elity. Rosja – występująca jako orientalistyczna synekdocha postsowieckiego Wschodu, do którego zaliczyć wypada również Białoruś i Ukrainę – traktowana jest raczej jako kulturowy inny, od którego chcemy się pozytywnie różnić i któremu chcemy pomóc – co znamienne – w kontaktach z Zachodem. Jest interesujące, że ten „misjonistyczny” i postkolonialny rys polskiej percepcji relacji międzynarodowych w naszej części Europy

odnajdziemy w deklaracjach zarówno prawicy – wystarczy wspomnieć polską politykę wschodnią prowadzoną przez Lecha Kaczyńskiego – jak i lewicy (deklaracje środowiska „Krytyki Politycznej” o mediacyjnej roli między Zachodem a Wschodem, jaką ma ponoć do odegrania młoda polska lewica). O ile podobny scenariusz może odpowiadać dążeniom niektórych grup społecznych i politycznych na Ukrainie czy w Gruzji, o tyle nawet powierzchowna znajomość historii relacji (i resentymentów) polsko-rosyjskich powinna wystarczyć, aby zauważyć, że Polska jest ostatnim mediatorem, jakiego życzyć by sobie mogli Rosjanie w swoich relacjach z Zachodem.

Inaczej jednak wygląda sytuacja, jeśli na sprawę popatrzymy historycznie i tutaj nie ma racji Zarycki, gdy twierdzi, że nie było mowy o „szerszej popularności idei pansłowiańskich wśród polskich elit”. Nie były one, oczywiście, artykułowane w kategoriach podporządkowania się Rosji – jak wspominał w książce, rozczarowania polskich słowianofilów wiązały się często właśnie z odkryciem faktu, że panslawizm musiałby oznaczać dominację Rosji w obozie słowiańskim – i sprowadzały się raczej do pomysłu budowy innej, alternatywnej wobec Zachodu „cywilizacji”. Pomysły takie odnajdziemy u dwóch wielkich romantyków, Mickiewicza i Krasińskiego. Na początku XX wieku i w okresie międzywojennym sympatyzowali z nimi myśliciele oraz politycy związani z Narodową Demokracją, jak Roman Dmowski czy Tadeusz Gruzewski.

Pod koniec swojej recenzji Zarycki stawia pytanie o ocenę polskiej spuścizny na tzw. kresach, wskazując, że moja pozycja jest pod tym względem ambiwalentna czy też nawet niespójna: nie wiadomo, czy niepełną polonizację ziem ukraińskich uznać należy za porażkę czy może za okoliczność pozytywną, która pozwoliła na „zachowanie odrębności kulturowej, a następnie politycznej Rusinów/Ukraińców”. Stawia również szersze pytanie teoretyczne o to, „czy treść, czy rzekome realne implikacje danej spuścizny mają przesądzać o jej dzisiejszym wartościowaniu”. Jakkolwiek ta druga, bardziej ogólna kwestia jest interesująca i zasługuje na osobne omówienie, czytelnik mojego *Fantomowego ciała króla* nie ma chyba wątpliwości, jak pod oboma względami należy, moim zdaniem, ocenić spuściznę I Rzeczypospolitej: jest ona fatalna zarówno, jeśli chodzi o treść – ze swoim rasizmem, ksenofobią, zapatrzeniem w siebie, zamknięciem i brakiem zrozumienia dla kierunku przemian w głównym nurcie cywilizacji europejskiej – jak i konsekwencje, z których najważniejsze to wepchnięcie Polski w orbitę zacofania i peryferyjności, co szczegółowo opisuję w książce. Co więcej, te konsekwencje nie były przypadkowe i stanowią raczej

logiczne następstwo wartości kultywowanych przez polską szlachtę i inspirowanych przez owe wartości wyborów politycznych. O ile więc sam dylemat „treść czy implikacje” może być interesujący, nie stwarza on w mojej opinii dużego pola manewru w dyskusji na temat I Rzeczypospolitej. Rację ma natomiast Zarycki, gdy zwraca uwagę na fakt, że z mojej diagnozy wyczytać można dwie odmienne oceny polskiej spuścizny kolonialnej na kresach i polonizacyjnej porażki. Te oceny będą różne w zależności od tego, czy wyartykułuje je zwolennik polskiego czy ukraińskiego (lub litewskiego) nacjonalizmu, natomiast ja sam w książce nie formułuję ani jednej, ani drugiej, inaczej bowiem lokuję istotę problemu: podstawową kwestią jest dla mnie strategiczny błąd, jaki popełniły elity Królestwa Polskiego, stawiając na ogromną ekspansję na wschód. W książce szczegółowo argumentuję, dlaczego było to błędem i nie ma tu miejsca na replikację tej argumentacji. Chcę jednak wyraźnie zaznaczyć, że sam projekt imperialny Polski jagiellońskiej był w mojej opinii zły – zarówno jeśli chodzi o treść, jak i pragmatyczne konsekwencje – i wobec tej diagnozy dylemat zarysowany przez Zaryckiego schodzi na dalszy plan.

Na wyjaśnienie zasługuje również inny moment, w którym Tomasz Zarycki definiuje moją pozycję jako postawę „klasycznego polskiego »zapadnika« widzącego jako jedyną dla Polski drogę »emancypacji przy pomocy racjonalnych metod«”. Jest to opinia poniekąd uzasadniona, ale poniekąd również błędna. Uzasadniona w perspektywie historycznej w tym sensie, że moja książka pokazuje, jak wielką cenę zapłaciła I Rzeczpospolita za odrzucenie wzorów panujących na zachodzie Europy i uparte trwanie przy domniemanej wyższości ładu sarmackiego. Zarycki krytykuje mnie za „idealizację” monarchii absolutnych jako jedynego wzoru rozwoju w okresie wczesnej nowoczesności, jednak moja diagnoza nie opiera się wcale na ideologicznych sympatiach – nie jestem ani monarchistą przekonanym o uniwersalnej wartości monarchii, ani etatystą domagającym się zawsze i wszędzie silnego państwa. Pozytywna ocena absolutyzmu wynika z jednego tylko faktu: prostej historycznej obserwacji, poczynionej zresztą już przez Marksa i Engelsa, a rozwiniętej później obszernie w takich książkach jak *Lineages of the Absolutist States* Perry’ego Andersona czy *The Long Twentieth Century* Giovanniego Arrighiego, że absolutyzm był ważnym etapem w rozwoju nowoczesnych społeczeństw i stworzył w dużej mierze warunki do kapitalistycznego rozwoju, który pozwolił zachodnim społeczeństwom na ostateczne wyemancypowanie się z feudalnych zależności. W Polsce absolutyzmu nie było, a feudalizm trwał, przynosząc coraz większe zacofanie. W książce szczegółowo pokazuję, jak te trzy fakty są

ze sobą powiązane i że powiązanie to nie jest przypadkowe. Sensownym kontrargumentem byłoby tu wskazanie europejskiego kraju, społeczeństwa czy regionu, gdzie rozwinęło się bogate i nowoczesne społeczeństwo pomimo braku absolutyzmu. Ciężar dowodowy spoczywa tu na tych, którzy uważają, że jest to możliwe, *ergo* odrzucenie przez I Rzeczpospolitą dominujących idei politycznych tamtych czasów nie było błędem. Chętnie wejdę w dialog ze zwolennikami takich tez, jeśli wysuną jednak konkretne przykłady, których w tekście Zaryckiego nie ma.

Powyższa kwestia będzie przedstawiać się inaczej, jeśli diagnozę Zaryckiego o moim „okcydentalizmie” odniesiemy do współczesności. Tu wcale moje stanowisko nie jest takie, jak sugeruje recenzent. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem imitacyjnej modernizacji polegającej na kopiowaniu wzorów „z Zachodu”. W zakończeniu książki artykułuję to *expressis verbis*, proponując wyjście poza postkolonialne resentymenty i podejmowanie prób awansu w obrębie struktury centro-peryferyjnej. W mojej opinii wartościowym celem nie jest dzisiaj bowiem próba wysforowania się do centrum – czy też, w wypadku Polski, raczej do półperyferii – ale podważenie całej ramy, która konstruuje tego rodzaju relacje. Wniosek z analiz genezy kapitalizmu poczynionych przez adeptów teorii systemów-światów oraz teorii zależności, jak Samir Amin czy Immanuel Wallerstein, jest taki, że rewersem kapitalistycznego postępu i bogactwa w centrum są bieda oraz zacofanie na peryferiach. Kapitalizm tworzy zespół naczyń połączonych, w którym skądś trzeba zabrać, żeby można było dołożyć gdzieś indziej. Próby awansu w tego rodzaju strukturze są, mówiąc delikatnie, przynajmniej wątpliwe etycznie, wymagają bowiem eksternalizacji negatywnych konsekwencji rozwoju. Tak więc celem, jaki warto dzisiaj postawić – zarówno w Polsce, jak i w szerszym, globalnym kontekście – nie jest modernizacyjny awans w kierunku pozycji centralnych, ale podważenie struktury, która bazuje na podziale centrum v. peryferie. Nie budzi chyba wątpliwości, że tego rodzaju program nie ma wiele wspólnego z jakimikolwiek postaciami okcydentalizmu.

Druga ważna kwestia, którą chciałbym poruszyć w związku z problemem relacji centrum-peryferie, to ich domniemana naturalizacja, o jaką oskarża mnie Tomasz Zarycki. Zarzut ten wynika częściowo z bronionej przeze mnie w książce tezy o tym, że „to co niższe, podporządkowane czy uzależnione, ukonstytuowało się jako takie właśnie i nie istniało, zanim nie zostało podporządkowane owemu procesowi podporządkowania” oraz z opacznie zinterpretowanego użyciu, jaki czynię w książce z Lacanowskiej kategorii „Realnego”. Ta pierwsza konstatacja jest wnioskiem, jaki

wyciągam za bułgarskim historykiem Alexandrem Kiossevem z jego koncepcji samokolonizacji. W interesującym mnie kontekście oznacza ona mniej więcej tyle, że I Rzeczpospolita ukształtowała swoją tożsamość społeczno-kulturową (czy też swój habitus) w obrębie nowoczesnego systemu-świata od razu jako peryferyjny producent nisko przetworzonych towarów i ideologia, która temu towarzyszyła i która w znacznej mierze ukonstytuowała społeczny, kulturowy i gospodarczy charakter sarmatyzmu – z jego antymiejskością, agraryzmem, niechęcią do przemysłu, wrogością wobec rodzimego handlu itp. – nie była dziedzictwem wcześniejszych epok, ale uformowała się jako element tego właśnie systemu świata. Dobrze tłumaczy to, dlaczego rozkwit sarmatyzmu przypada właśnie na wiek XVII i XVIII, kiedy I Rzeczpospolita, a wraz z nią Królestwo Polskie, jest już peryferyjnym elementem nowoczesnej, kapitalistycznej gospodarki świata, a nie na okres wcześniejszy, gdy Polska była, jak np. w wieku XIV, autentyczną potęgą równą największym państwom europejskim. Sarmatyzm, do którego chcieliby odwoływać się dzisiaj różnej maści konserwatywni modernizatorzy, nie był ideologią rzeczywistej wielkości i triumfu, ale elementem funkcjonalnym wobec peryferyjnej pozycji Polski i I Rzeczypospolitej. Jak więc widać, nie ma tu żadnej naturalizacji i chodzi raczej o dekonstrukcję ideologii odwołującą się do czynników jak najbardziej społecznych oraz kulturowych. Recenzja mojej książki napisana przez Zaryckiego dowodzi pośrednio, że polemiczny partner tej dekonstrukcji, czyli plan konserwatywnej modernizacji, jest rzeczywistym przeciwnikiem w sporze o interpretację spuścizny po I Rzeczypospolitej. Zarycki częściowo otwarcie, a częściowo między wierszami sugeruje, że kultura sarmacka miała swój potencjał modernizacyjny i wyraził się on na przykład w „wielkiej redefinicji polskiego obywatelstwa, jaka nastąpiła u schyłku XIX wieku i została zwieńczona powołaniem II Rzeczypospolitej jako republiki, w której prawa obywatelskie osadzone zostały symbolicznie w szlacheckiej tradycji”. Twierdzi również, że była to „specyficzna ścieżka budowy modelu polskiego obywatelstwa” oraz „swoisty odpowiednik rewolucji francuskiej, który nazwać by można »rewolucją inteligencją«”. Próba zestawienia tych dwóch wydarzeń jest, moim zdaniem, wątpliwa (a na marginesie zauważyć można, że Zarycki, wybierając na bohatera tego porównania rewolucję francuską, a nie np. bolszewicką w Rosji czy kulturalną w Chinach, też naraża się na zarzuty „zapadnictwa”). Za Wielką Burżuazyjną Rewolucją Francuską stała silna, wpływowa i liczna grupa mieszczaństwa domagającego się dla siebie godnego miejsca we francuskim społeczeństwie. Ilu „inteligentów” stało za domniemaną polską rewolucją inteligencją? Jaką część

społeczeństwa stanowili? I czy była to rewolucja czy raczej kontynuacja dawnych sarmackich tradycji elitaryzmu i wykluczenia? Moim zdaniem raczej to drugie, a słabość domniemanej rewolucji ilustruje fakt, że II Rzeczpospolita przez cały okres swojego istnienia nie była w stanie poradzić sobie z kwestią fundamentalną ze społecznego punktu widzenia, czyli z reformą rolną – zrobił to dopiero PKWN w 1944 roku – a relikty pańszczyzny trwały w niej do 1931 roku (sic!). Zarycki zarzuca mi również, że moją krytykę demokracji szlacheckiej jako „mitu” odnieść by można równie dobrze do postępowych idei społecznych i wydarzeń na Zachodzie, jak rewolucje amerykańska czy francuska. Ale, znów, porównanie nie jest trafne. Zgoda, że nowoczesny model inkluzywnego obywatelstwa u swoich początków rozmiął się radykalnie z deklaracjami, a czego Stany Zjednoczone, afirmujące równość i utrzymujące instytucje niewolnictwa, są doskonałym przykładem (pisałem o tym więcej w mojej poprzedniej książce *Ciesz się, późny wnuku. Kolonializm, globalizacja i demokracja radykalna*). Różnica polegała jednak na tym, że chociaż w wypadku Ameryki czy Francji praktyka nie dorównywała teorii, to jednak owa teoria miała uniwersalistyczny charakter, afirmując równość oraz inkluzywność. Fakt ten, nawet pomimo „mityczności” podobnych ideałów, był mechanizmem napędzającym społeczną zmianę, co doskonale pokazał np. Jacques Rancière w swoich analizach XIX-wiecznego ruchu robotniczego. Sarmackie ideały towarzyszące demokracji szlacheckiej afirmowały w partykularystycznym duchu coś innego: ekskluzywność, hierarchiczność, wolność jednych kosztem niewolnictwa drugich. Na tym polegała ich mityczność: w rzeczywistości nie wspierały wcale nowoczesnego ustroju demokratycznego, ale feudalne niewolnictwo ukryte za parawanem frazeologii zaczerpniętej ze starożytności.

Nic z naturalizacją nie ma też wspólnego Lacanowskie pojęcie „Realnego”. Jest to termin o charakterze strukturalnym i odnosi się do tego, co zawsze wraca na swoje miejsce lub też jest obecne we wszystkich możliwych światach. Realne trzeba zawsze rozpatrywać w odniesieniu do dwóch innych rejestrów rzeczywistości: tego, co Wyobrażeniowe oraz Symboliczne. W książce posługuję się kategorią „Realnego” w dwóch miejscach. Najpierw, aby opisać uporczywe trwanie pewnego konkretnego podziału w Europie, a mianowicie rozłamanie kontynentu na Wschód i Zachód, mniej więcej wzdłuż linii Łaby. Jak staram się pokazać, powołując się zresztą na opinię wielu historyków kultury i cywilizacji europejskiej, przez ostatnie dwa tysiące lat pomimo zmieniających się konfiguracji ustrojowych

i ewoluującego porządku społecznego (te elementy tworzą w niniejszej konfiguracji to, co Symboliczne) oraz przesuujących się granic państwowych (co za Alainem Badiou proponuję zaliczyć do rejestru Wyobrażeniowego), podział na Wschód i Zachód systematycznie powracał: w starożytności jako granica ekspansji imperium rzymskiego, w średniowieczu jako wschodnia granica imperium Karolingów, a później, co z tym związane, granica klasycznego feudalizmu, odmiennego od systemu prawa książęcego, jaki dominował m.in. na ziemiach polskich, we wczesnej nowoczesności jako granica drugiego poddaństwa chłopów, czyli zaostżenia pańszczyzny na Wschodzie (i jej zanikania na Zachodzie), a wreszcie w dojrzałej nowoczesności jako granica pomiędzy dynamicznym rozwojem, urbanizacją i uprzemysłowieniem a biedą i zacofaniem. Tak więc w konfiguracji społecznej i kulturowej rzeczywistości, której jesteśmy częścią, ta granica to Realne (dla Lacana to, co nazywamy rzeczywistością, jest syntezą wszystkich trzech rejestrów: Realnego, Symbolicznego i Wyobrażeniowego).

Drugi raz Realne pojawia się w odniesieniu do „zombicznej” egzystencji I Rzeczypospolitej po 1572 roku, czyli tego, co w książce opisuję poprzez figurę fantomowego ciała króla zainspirowaną teologiczno-polityczną koncepcją dwóch ciał króla (Ernst Kantorowicz omawia ją obszernie w książce pod tym właśnie tytułem). I tu znów Realne, którym jest nieistnienie państwa polskiego, przebija się poprzez to, co Symboliczne (zmieniające się dynastie, ewolucja ustroju politycznego od ruchu egzekucyjnego do dominacji magnackiej itp.) i Wyobrażeniowe (przesuwające się granice I Rzeczypospolitej i sfery jej wpływów) jako postępujący rozkład owego państwa. Pierwszym sygnałem tego nieistnienia jest nieudany rozbiór I Rzeczypospolitej, czyli traktat z Radnot podpisany w 1656 roku. Inne symptomy tego rozkładu interpretuję właśnie jako uporczywe powracanie braku, którego ostatecznym dowodem były trzy rozbiory z końca XVIII wieku (i, jak staram się pokazać, odwołując się do tekstu Lacana *Le temps logique et l’assertion de certitude anticipée*, to trzykrotne powtórzenie tego samego gestu było kluczowe dla ostatecznego „przelamania się” tego, co Realne, przez rejestry Symboliczne i Wyobrażeniowe). Ale znów: nie ma mowy o jakiegokolwiek naturalizacji. Strukturalistyczny charakter myśli Lacana nie zmusza nas do orzekania o ontologicznej naturze tego, co Realne. Liczy się przede wszystkim miejsce zajmowane przez dany element czy zjawisko w trójdzielnej strukturze.

Dochodzimy tu do sprawy rozbiorów i ich interpretacji zarysowanej w książce, co jest również przedmiotem wątpliwości Tomasza Zaryckiego. Twierdzi on, że dokonuję „legitymizacji rozbiorów w języku psychoanalitycznym”. Jest to zarzut niesłuszny, bo język psychoanalityczny w ogóle nie jest przeze mnie wykorzystywany w celu zadekretowania wartości czy słuszności czegokolwiek. Służy mi raczej do pokazania, że rozbiory nie były nagłym i niezrozumiałym gwałtem, którego wroldzy i pazerni sąsiedzi dopuścili się na niewinnej Rzeczypospolitej, ale raczej ukoronowaniem procesu trwającego wcześniej od dwóch wieków. Staram się też wpisać rozbiory w logikę rozwoju ładu nowoczesnego i wskazuję, że czasowa zbieżność rozbiorów oraz rewolucji w Ameryce i Francji nie jest przypadkowa. I Rzeczpospolita jako antynowoczesne residuum zostaje zmieciona z mapy dokładnie w momencie, gdy nowoczesność święci swoje największe tryumfy. *Nota bene*, równie znamienne jest inna koincydencja, a mianowicie wydarzenia roku 1648 – dokładnie w momencie, gdy na zachodzie Europy pokój westfalski przypieczętowanie się nowej logiki relacji międzynarodowych i pośrednio legitymizuje absolutyzm jako dominującą formę ustrojową, I Rzeczpospolita zostaje wstrząśnięta powstaniem Chmielnickiego, które zwiastuje początek jej końca. Oczywiście, można powiedzieć, że to wszystko przypadkowe zbiegi okoliczności. Ja tak jednak nie uważam i w tym sensie jestem logocentrykiem – sądzę, że wydarzenia te były ze sobą powiązane jako elementy szerszej całości, której ewolucję da się opisać i wytłumaczyć racjonalnymi metodami.

Tomasz Zarycki zarzuca mi, że domagam się niemal wdzięczności dla zaborców za modernizacyjne przemiany, jakie wprowadzili w Polsce. Mówienie o wdzięczności może być w tym kontekście co najwyżej retoryczną przesadą, rzeczywiście jednak staram się pokazać modernizacyjny aspekt rozbiorów. Widać go w różnych wymiarach: zniesienie pańszczyzny, wprowadzenie sprawnie funkcjonującego systemu podatkowego, zwiększenie wydajności rolnictwa, rozwój infrastruktury, uprzemysłowienie itp. Piszę jednak wyraźnie, że na to wszystko trzeba patrzeć w perspektywie zacofania, w jakim uwięzili I Rzeczpospolitą rządy Sarmatów. Zaborcy tylko dlatego mogli wystąpić w roli modernizatorów polskiego państwa, że nie chcieli nimi być jego szlacheccy włodarze. To przeciw nim i ich sarmackiej kulturze, która współcześnie powraca w przeróżnych awatach, skierowane jest ostrze mojej argumentacji. Moim zdaniem nad tym właśnie warto się zastanawiać, a nie nad tym, co zrobili nam zaborcy, za co ponoszą winę, jakie są ich zasługi itp. I z tego powodu eksponuję rolę, jaką polska szlachta



odegrała najpierw we wprowadzeniu I Rzeczypospolitej w peryferyjne położenie, później w utrzymaniu jej w nim i w końcu w samym ostatecznym upadku państwa. Nie powinniśmy zapominać, że sejm I RP zatwierdzał potulnie rozbiorowe traktaty, trzeba więc zapytać, jak to możliwe, że tak niby wspaniałe państwo rządzone przez tak ponoć mądre elity i ufundowane na tak wzniosłych ideałach miało równie żaloszny parlament? Stawianie tego rodzaju pytań pomoże nam w odzyskaniu poczucia sprawstwa i podmiotowości, czego w moim odczuciu ogromnie brak w dyskusjach nad historią i współczesnością polskiego społeczeństwa oraz kultury.